



# swoimi słowami

TADEUSZ SOBOLEWSKI

## Kino-ja Marzyńskiego

**P**ełno Mariana Marzyńskiego na festiwalu Off Cinema. Autor słynnego dokumentu „Powrót statku”, twórca Turnieju Miast – jednego z najpopularniejszych programów telewizyjnych z czasów Tele-Echa, Wielkiej Gry i Kabaretu Starszych Panów – przyjechał z Bostonu do Poznania odebrać nagrodę Platynowego Zamku.

Przywiózł ze sobą amerykańską rodzinę. O swojej córce przez 30 lat kręcił dokument „Anya. Nie zawsze w ostrości”. Żona-architektka jest bohaterką jego najnowszej, nie wydanej jeszcze książki „JaTyJa” – autobiografii w formie małżeńskich rozmówek. Pani Grażyna w latach 60. mieszkała na Wybrzeżu. Marian, który się w niej kochał, tam właśnie szukał dla siebie tematów. Tak powstał reportaż radiowy o spotkaniu przybywających Batorum amerykańskich Polaków z oczekującymi ich w porcie rodzinami. Marzyński nie mógł się nasycić wielką sceną tego powitania – wracał do niej później w reportażach telewizyjnych, wreszcie w filmie „Powrót statku” (1963), świetnym przykładzie polskiego *cinema-verite*.

„Powrót statku” i „Pożegnanie z ojczyzną” (1964) stały się niezamierzonym proroctwem. Sześć lat później Marian Marzyński sam stanie się emigrantem. Na statku *Sct. Lawrence* przycumowanym w porcie kopenhaskim, kręci film o uchodźcach z Polski, zaopatrzonych zamiast paszportów w *dokumenty podróży*.

W tym filmie Marzyński swoim charakterystycznym radiowym głosem, którym kiedyś czytał *wiadomości z kraju i ze świata*, po raz pierwszy opowiada własną historię. Jego życie, filmy i książki zachodzą na siebie. *Dwa światy, prywatny i zawodowy, gonią się wzajemnie, splatają*.

*Miałem pięć lat, gdy przesznułowano mnie z warszawskiego getta, aby przez następne trzy lata, uciekając od śmierci, wędrować z ręk do rąk. Matka ścisłała mi rękę, gotowa do samobójczego skoku z szóstego piętra warszawskiej kamienicy. Dozorca innego domu znalazł mnie potem na swoim podwórku z zawieszoną na szyi tabliczką z moim imieniem. Potem pewien ksiądz uratował mi życie, wychowując w religii katolickiej, którą jak uciążliwy bagaż, zrzuciłem z siebie po wojnie. I dopiero tutaj, w Danii, będąc Polakiem nazywanym syjonistą, któremu partia pozwoliła wybrać sobie nową ojczyznę, zaczynam czuć się Żydem.*

W dokumencie „Nigdy nie zapomnij kłamać” z roku 2013 Marzyński jeszcze raz opowiada swoją wojenną historię, odwiedza pamiętne dla siebie miejsca i ludzi. Jego matka decyduje się zostawić dziecko na pastwę losu, aby w ten sposób zwiększyć szanse jego przeżycia. Z tabliczką: *nazywam się Maryś, moi rodzice nie żyją*, chłopiec znalazł się na podwórzu, gdzie przygarnął go dozorca-pijak.

I w tym momencie widzę na ekranie miejsce dobrze mi znane – podwórze mojego ojca i ciotek: Targowa 61 na warszawskiej Prądze. Widzę okna przedwojennego mieszkania Sobolewskich, dobrze mi znane zielone ściany oficyn, pośrodku kolorową figurę Chrystusa i klomb ze śmietnikiem.

To przypadek. Pewnie ze względu na tę efektowną figurę Marzyński wybrał moje rodzinne podwórze, zachowane bez zmian od czasów wojennych. Mam poczucie, że *kino-ja* Marzyńskiego zahacza o moją, nie-żydowską historię. W moich wspomnieniach rodzinne obiady z lat 60. kojarzą się z oglądanym wtedy Turniejem Miast.

Był to pełen rozmachu telewizyjny karnawał. Syców i Oleśnica, Łowicz i Sieradz, Nowy Targ i Nowy Sącz walczyły o wielką nagrodę pieniężną za pomocą konkursów siłaczy, krasomówców, klasyfikacji świń, strzelania z pistoletu, cięcia sieczki, kelnerów na wrotkach, gry w dwa ognie dla działaczy partyjnych, rozśmieszania publiczności. Ten karnawał stawał się obrazem życia, jakie mogłoby być, utopijną wizją innej Polski Ludowej, radosnej, solidarnej, pełnej energii.

Był to obraz ludzkiej wspólnoty w zabawie. W dokumencie „Przed turniejem” radni Sycowa jak mali chłopcy rozpalają się w dyskusji, jak pokonać konkurentów z Oleśnicy w wyścigu hulajnóg. Sekretarze partii stawali się patriotami. Kościół z tej okazji prze-

suwał godziny nabożeństw, księży z ambon zagrzewali do pokojowej walki, Marzyński na kilka godzin robił z Polski Amerykę. On sam – reżyser – jest na planie obecny. Jak wodzirej, czy dyrygent, podaje ton, uruchamia energię, dowodzi. W swoich filmach – podobnie jak w życiu wykonuje charakterystyczny gest: dotyka ludzi, z którymi rozmawia.

W filmie „Nigdy nie zapomnij kłamać” kobieta, która go ukrywała – jedna z wielu osób, które go przechowywały – pyta: *Maryś, czy ty kochasz Polskę?* On, przytulając ją, odpowiada pytaniem: *a co to jest ta Polska? Ja mogę kochać Basię, czy Marysię. O tym, jak bardzo kochają Polskę, mówią często faszyci.*

Kiedy w domu w moich czasach licealnych oglądaliśmy Turniej Miast, tata zawsze powtarzał: *znałem ojca tego Marzyńskiego, stawił domki fińskie po wojnie w Warszawie! Nie wiedział, że był to jego ojczym. Prawdziwy ojciec, o nazwisku Kuszner, wywieziony do Treblinki, zdołał po drodze uciec z transportu. Został zastrzelony w lesie – przez Polaków? Niemców?*

W filmach z lat 60., zrealizowanych przed wyjazdem z Polski, Marzyński nigdy nie dotyka traumy wojennej. Co najwyżej rozbraja ją – jak w filmie „Kino” (1966) złożonym ze zdjęć Tadeusza Rolkego, robionych na planie kręconego w Warszawie filmu Anatola Litvaka „Noc generałów”. Ujęcia przedstawiające hitlerowców na warszawskiej ulicy, jakby z czasów okupacji, nagle przełamuje obraz aktora w stroju esesmana, przypalającego papierosa od współczesnego przechodnia.

W filmie „Nigdy nie zapomnij kłamać” Marzyński zdobywa się na zastanawiające wyznaczenie. Odwiedza klasztor orionistów, w którym go ukrywano. Widzimy go samego w tamtym kościele, nie zmienionym od czasu wojny. Podchodzi do ołtarza, przy którym wtedy służył jako ministrant. Jak na żydowskie dziecko, miał szczęście: nie był obrzezany (rozsądna decyzja ojca). Zanim trafił do tego klasztoru, został ochrzczony i dostał nowe nazwisko. Opowiada, że miał wtedy pewne wyobrażenie Boga, a właściwie dwóch Bogów: wielkiego Boga żydowskiego i mniejszego chrześcijańskiego, któremu służył. Mieszkając jakiś czas w dzielnicy niemieckiej, obserwował z okna hitlerowców. Wysyłał w ich stronę groźne zaklęcia, tak jakby Bóg udzielał mu jakiejś mocy. Później zrozumiał, że kluczem do jego przetrwania było kłamstwo, i że *Bóg już go nie chce. Nie mam wątpliwości* – mówi w filmie – *że teatralna inscenizacja, jaką tworzy Kościół, miała wpływ na moją przyszłą drogę filmowca. Skończyła się jednak, narzucona dla utrzymania mnie przy życiu, wiara.*

Z reportażu radiowych Marzyńskiego, z jego filmów dokumentalnych z lat 60. bije fascynacja ludźmi, samą możliwością podpatrywania i podsłuchiwania ludzkiej rodziny w jej różnorodności. W filmach z tamtego czasu chętnie doszukujemy się dziś *metafory systemu*. Ale Marzyński jest antysystemowy – może dlatego tak łatwo zaaklimatyzował się w Ameryce, ucząc kina na Rhode Island. Jego filmy, robione w Polsce po 1956 roku, stopniowo, z konwulsjami, zmierzającej w stronę demokracji, były wolne od obowiązujących do niedawna rygorów, wolne nie tylko od propagandy ideologicznej, ale od stylistyki dawnego kina, określającej, co może być pokazane na ekranie i jak trzeba przemawiać przez radio. Marzyński jako spiker przyspieszał rytm. Wychowałem się przy odbiorniku radiowym i naprawdę pamiętam z tamtych lat jego głos i to charakterystyczne przyspieszenie.

Zacynał jako radiowiec – wsłuchiwał się w ludzkie gadanie. Po trafił jechać autobusem do końca trasy, żeby dosłuchać czyjejs rozmowy, zaciekawiony ludźmi. W Ameryce zachował tamten dawny optymizm. Roznosi go energia. 13 października, w dniu wyborów w Polsce, Marzyński na swoim blogu wyśmiewa *grobową ciszę wyborczą: Dopóki Polska nie odzyska poczucia humoru na temat tego święta demokracji, jakim są wybory, wygrywać będą ponuracy, którzy władzę trzymają...*